

ukowym”. Zdawać by się mogło, że wszelki sprzeciw wobec jego pogardy względem Kościoła zaowocuje jeszcze większym zniecierpliwieniem i kto wie, czy nie „ukaraniem” bohaterki miazdzącą opinią lekarską, dyskwalifikującą ją w zawodzie wykładowcy. Bohaterka pozostaje całkowicie w rękach przesłuchującego ją lekarza, także fizycznie, znajduje się bowiem na fotelu lekarskim, a on trzyma w ręku podgrzaną łyżkę laryngologiczną niczym jakieś narzędzie tortur. Tymczasem bohaterka, w swej ogólnej rezygnacji, nie jest już tak gorączkowo przywiązana do wizji siebie jako wykładowcy, nie stara się zatem za wszelką cenę ani utrafić w to, co lekarz chciałby usłyszeć, a więc nie uspokaja jego sumienia, ani odwrotnie, nie chce go też na siłę nawracać. Spokojnie odpowiada na jego pytania zgodnie ze swoją wiarą. Jest to zatem coś na kształt *Credo*, składanego całkiem na poważnie, w tych mocno upokarzających okolicznościach, wbrew swojemu własnemu interesowi.

Wreszcie ostatni rozdział pt. *Owoc* stanowi zwornik i zwięźczenie wcześniejszych wątków dotyczących stanu ducha bohaterki, a tym samym nas wszystkich, którzy się odnajdujemy w jej zbiorowym portrecie pokoleniowym. My, świetnie zapowiadający się, a nieznajdujący swego miejsca w życiu. My, zniechęceni i rozczarowani tym, co nas spotkało, rozczarowani tym, że nie jest tak, jak miało być. My, których talenty nie zostały właściwie wykorzystane, których praca nie przyniosła spodziewanych owoców, odnajdujemy wreszcie pocieszenie. Nie jest to może

pocieszenie takie, jakiego oczekiwaliśmy, ponieważ dotyczy ono owoców, których nasze ziemskie oczy być może nie będą nigdy oglądać. Niewykluczone bowiem, że owoc naszego życia nie jest przeznaczony dla nas, nie my go będziemy kosztować. Pocieszeniem staje się pogodzenie z tym, że to, co pojmowaliśmy jako życiową pomyłkę, może istotnie stanowić właściwy stan rzeczy, nasze miejsce w świecie. Znajdujemy się w tym miejscu i sytuacji z woli Bożej i tu możemy wolę Bożą spełniać. To właśnie będzie prawdziwy owoc naszego życia. ■

Antonina Karpowicz-Zbińkowska

Boże Ciało bez Bożego Ciała

Boże Ciało, reż. Jan Komasa, Polska 2019.

Mówi się, że *Boże Ciało* to film ratujący przed religijną obłudą, skostniałością i przyzwyczajeniem autentycznie katolickie wartości. Dzieło wygładzające rysy i obyczaje. Swoista ekranowa psychoterapia naszych typowo polskich przywar, tak chętnie skrywanych za parawanem kościelnego zaangażowania. Obraz tego, jak „czucie i wiara” silniej mówią do „mnie” niż szkiełko witraża, oko Opatrzności nad ołtarzem, bezmyślnie klepane różańce i smutnie wyśpiewywane godzinki. I wreszcie: film pretendujący do bycia prawdziwie Jezusową przypowieścią, taką z ciała i krwi, z miłości i łez, a nie wygłaszaną przez surowego kaznodzieję, nie tą

inkrutowaną niczym barokowy krucyfiks. I tutaj, mówiąc szczerze, obraz napotyka na szereg problemów, zwłaszcza w aspekcie prób odczytania go w katolickim kontekście. Przede wszystkim *Boże Ciało* pozabawione zostało tytułowego Bożego Ciała. Bóg jest w tym świecie nieobecny. Czy wolno posunąć się aż do stwierdzenia, że to Bóg, który umarł? Zapewne obecność Jezusa Chrystusa miał w tej historii reprezentować człowiek, nieświęty i niedemoniczny, omylny, a przecież niezasługujący na potępienie, stojący wyraźnie w centrum Kościoła. W działaniu którejkolwiek z postaci nie sposób jednak doszukać się ziaren nadprzyrodzoności. Główny bohater nie reprezentuje obecności Kogoś poza mną i wypełniającego mnie, tak samo jak nie wskazuje, jakoby w Kościele katolickim znajdowały się źródła życia wiecznego; występuje raczej jako – by zacytować recenzję Michała Oleszczyka – „rzecznik psychoterapii albo reformacji”. Motywacyjne sztuczki zastępują współpracę z łaską, a coachowy trening wchodzi w miejsce kierownictwa duchowego. Wszystko tak bardzo doraźne. Wszystko jedynie ludzkie.

Przyznam, że *Boże Ciało* nie przekonało mnie ani stroną wizualną, ani koniecznie mającą wybrzmieć w niemal każdej scenie „czułością” (obawiam się, dość nieszczerze kalkulowaną). Seans okazał się rozczarowujący. W minionym roku zobaczyłem naprawdę sporo wspańiałych filmów niepozostawiających wątpliwości co do intencji twórców. Myślę tutaj chociażby o konkurującym z *Bożym Ciałem* macedońskim dokumencie *Kra-*

ina miodu, a więc o filmie, który oparł się na najczystszych humanistycznym ideale zrozumienia człowieka w jego złożoności, pięknie i brzydocie, mocy i słabości, w jego zmaganiach z sobą, ze światem i losem. To film niesilący się na doraźny efekt, a przecież zdumiewający głębią ujęcia oraz nieklamany pięknem obrazu. Także inne dzieła, takie jak *Irlandczyk* albo *U bram wieczności*, choć niebezpośrednio dotykały spraw duchowości i religii, to jednak pozostały autentycznie i do bólu zaangażowane w potrójne pytanie: „Skąd przyszliśmy, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy”. Inaczej było w przypadku *Bożego Ciała*, które aż do końca seansu nie uspokoiło moich podejrzeń, że reżyser i scenarzysta starali się kupić moją sympatię po zaniżonej cenie. Bohaterowie nie zachowują spójności, lecz w gruncie rzeczy nie o psychologiczną spójność tu chodzi. Oni mają być po prostu „fajni” i „autentyczni”, szczerzy wobec własnych uczuć i spontaniczni – i za sam ten fakt powinniśmy wziąć ich stronę w zarysowanym później konflikcie. To, co miało mnie połechtać, wzruszyć, zaszokować czy zmieszać – ostatecznie wybrzmiało nieco fałszująco.

Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że działa tu subtelny „szantaż emocjonalny”: do Daniela można mieć szereg rozmaitych zastrzeżeń, ale koniec końców wypada go lubić. Nikt nie chciałby przecież stanąć po drugiej stronie, w tłumie ludzi skostniałych, niedających się rozruszać i rozbawić, ostrożnych i podejrzliwych, faryzejsko przywiązanych do katolickiego decorum. Aby nikt nas przypadkiem nie

utożsamiał z tłumem szarych, smutnych i wyschniętych, jesteśmy skłonni bić bravo prowokacyjnemu księdzu, który odprawia szaleńcze płasy w koloratce, żartuje z dogmatów, łamie stereotypy. Tego rodzaju zabiegi zdradzają jednak desperackie nastawienie na efekt (chodzi oczywiście o wstrząśnięcie „zastygłym, religijnym” myśleniem, aby tchnąć w nie odrobinę życia); to koniec końców bardzo tania próba leczenia widza, na którego wcześniej zaprojektowało się odpowiedni problem w przekonaniu, że co poniektórzy w swej katolickiej drętwocie wykrzykną „Jezus, Maryja”, następnie odprawią na sali kinowej cichy egzorcyzm i tym sposobem przejrzą się w swej dewocji, a katharsis zostanie osiągnięte. Zabrakło tu natomiast, jak sądzę, szczerzej i autentycznie zaangażowanej próby wnikięcia w tkankę człowieczeństwa; nie było realnego zainteresowania powszednią ludzką ciasnotą i potrzebą asekuracji, nawet tą przesłanianą znakiem krzyża. Prawdą jest, że Komasa zobrazował konflikty małej przykościelnej wspólnoty z wyczuwalną dozą empatii, bez kiczu, bez sięgania po Smarzowską satyrę, bez stawiania łatwych diagnoz, a przede wszystkim bez pochopnych ocen. Jest to niewątpliwie pozytyw filmu. Z drugiej jednak strony to główny bohater, Daniel, ewidentnie pojawia się w miasteczku jako zbawca. On sam nie uczy się niczego „ludzkiego” od skonfliktowanych ze sobą katolików. Oni potrzebują od Daniela uzdrowienia, lecz sami pozbawieni są choćby odrobiny tego leczącego charyzmatu. To dlatego nie przekonują mnie pochwały ze strony wie-

lu moich katolickich braci i siostr, starających się wykazać, iż *Boże Ciało* pokazuje „świętość nawet w grzesznym człowieku”. Gdyby tak było, być może wówczas zobaczylibyśmy nieco więcej świętości tych mniej „fajnych”, mniej wyluzowanych; tych zasiadających w kościelnych ławach, zamkniętych i nieprzemienionych.

A więc efekt, zjednanie sobie widza, chęć zrobienia mocnego wrażenia, ale bez przekonująco solidnego fundamentu humanistycznego. Taki był mój seans, jeśli miałbym w krótkich słowach ująć własne refleksje poza ścisłym kontekstem religijnym. W katolickiej dyskusji nad filmem Komasy istotniejsze wydaje się jednak to, że *Boże Ciało* u samych swoich podstaw i założeń wcale nie jest filmem katolickim (przyznał to nawet bezstronny krytyk filmowy, wspomniany już Michał Oleszczyk, któremu de facto film się podobał). Nie mam tu na myśli przede wszystkim świętokradzkiej uzurpacji, której dopuścił się Daniel. Owszem, z punktu widzenia wiary Kościoła kapłaństwo, spowiedź i Eucharystia są świętością. One zaś zostały ni mniej, ni więcej „wykradzione” przez chłopaka z poprawczaka, który chciał dobrze, przemyślał swój plan trochę gorzej, a czuł jeszcze inaczej. Problematyczne dla katolickiego odbiorcy okazuje się głównie fundujące całą fabułę *Bożego Ciała* przekonanie, iż sakramenty nie mają żadnego (ani pozytywnego, ani negatywnego) oddziaływania na duszę człowieka. Są martwe. Nie przemieniają. Dźwięczą niczym pusty cymbał, lecz nie sączą życia w ludzkie serce. Można by nawet poku-

sić się o stwierdzenie, że w świecie *Bożego Ciała* sakramenty, a więc wyrazy miłości Boga, w pewnym momencie kolidują z miłością, ponieważ ich sprawowanie pozwala zastępnąć wszystkim w niezdrowym status quo. A przecież to przede wszystkim one – jeśli mielibyśmy odwołać się do nauczania Kościoła – stanowią o prawdziwym Bożym Ciele. Przez nie działa Bóg i one budują żywą wspólnotę wiary skuteczniej aniżeli wszelakie, nawet najbardziej efektowne i dobrze przyswajalne chwytły z arsenału popularnej psychologii.

Ksiądz Tomasz imponujący nam wszystkim manifestem, iż oto – pomimo otworzonego przed oczyma mszału – „nie przyszedł klepać formułek”; tak jakby liturgia stanowiła przeszkodę dla autentycznej wiary, a wszystko, co „z serca”, należało przemycać obok przykrego obowiązku wytyczonego przez tradycję. Ksiądz proboszcz, który boryka się z osobistymi demonami, przyznając, że się już nie raz wypowiadał, lecz „spowiedź niczego nie załatwia” (najwyraźniej zapominając, że przy konfesjonale dokonuje się przede wszystkim pojednanie człowieka z Bogiem, pierwszorzędne wobec spraw przemijających). Daniel nieudzielający spowiadającej się kobiecie rozgrzeszenia, aby zastąpić je mową motywacyjną, zaś w innej scenie odciągający ludzi od klepanego na ulicy różańca, aby w zamian zaproponować wykrzyczenie dławionych przez lata emocji. To wszystko konsekwentnie buduje obraz Kościoła, w którym to, co najświętsze (czyli sakramenty właśnie), pozostaje gestem bez znaczenia, bez siły, bez życia.

Można by ten zasadniczy element filmowego świata zinterpretować przez pryzmat jak najbardziej ewangelicznego konfliktu pomiędzy stęchłym adorowaniem formy a wewnętrznym pędem wiary. Lecz Daniel w żadnym momencie nie dąży do tego, aby napęlnić rytuał właściwą mu żywotną treścią. On raczej zastępnuje to, co kościelne, tym, co psychologiczne.

Przyglądając się scenariuszowi *Bożego Ciała* od tej strony, można by zapytać, czy działania Daniela, przynosząc najwidoczniej doraźny skutek, rzeczywiście na trwałe przemieniły wspólnotę, którą spotkał. Wiadomo skądinąd, że samo wykrzykiwanie emocji nie jest wystarczającym lekarstwem na życie. Wspomnianą „nieistotność” sakramentów dopełnia wreszcie „święty podstęp” Daniela, który bierze na siebie rolę księdza nie dlatego, że został do niej przez Boga ustanowiony, lecz dlatego, że takim się czuje. I to jakże nietrwałe uczucie – zamykając prosty morał *Bożego Ciała* w krótkich słowach – miałoby decydować zarówno o prawdzie jego tożsamości, jak i kierunku naszej metanoi. ▀

Michał Gołębiowski

Człowiek naprawdę wolny zawsze wybierze Boga

Swobodny jeździec, reż. Dennis Hopper
(*Easy Rider*, USA 1969).

W ostatnim akcie filmu *Easy Rider* z 1969 roku, w jednej z tych scen